

Od autora: Krótki szort fantasy, napisany raczej jako ćwiczenie

Ken Lin Sautoro była ostatnią osobą, którą mieszkańcy Królestwa chcieli widzieć w swoich drzwiach. Zdążyła się już do tego przyzwyczaić, w końcu branie pod uwagę opinii innych nie leżało w jej naturze. Co więcej, ową cnotę bardzo ceniono w wykonywanym przez nią zawodzie i często hojnie nagradzano.

Nie mogła więc narzekać. Nigdy zresztą tego nie robiła.

Gdy tylko wysiadła z powozu, jej nozdrza wypełnił siarczasty smród gnoju, a nowe buty zanurzyły się w gęstym błocie. Podniosła nogawki spodni i westchnęła. To również nie było jej obce. Nieraz lądowała w nim twarzą, zwłaszcza na początku swojej kariery, niemal dwadzieścia lat temu.

To już tyle lat, jak ten czas leci. Ze zdziwieniem stwierdziła, że wspomnienie to napawało ją ciepłym uczuciem nostalgii, otuliło niczym wełniany koc w zimowy wieczór.

Zapłaciła woźnicy najczystszyimi złotówkami, nie czekając na resztę, co i tak nie oszczędziło jej nieprzyjemnego spojrzenia, a także splunięcia – na szczęście w przeciwną stronę. Od razu odjechał, a jego koń zostawił po sobie nieprzyjemny ślad, jakby na pożegnanie.

Może również gościła w domu tego mężczyzny? Nie pamiętała, było ich już tak wielu, zwłaszcza po obaleniu starego króla oraz wprowadzeniu nowych, sprawiedliwszych praw.

Ken Lin wyciągnęła kwiatowe perfumy i rozpyliła je wokół siebie, choć nawet ich silna woń nie była w stanie przezwyciężyć naturalnych zapachów wsi. Następnie rozejrzała się dookoła i ujrzała zwyczajną, małą osadę o pospolitej nazwie, jedną z wielu przez nią odwiedzonych. Starsi ludzie siedzieli przed swoimi domami, pili, rozmawiali. Dzieci bawiły się w „milicjantów i złodziei”, krzyczały, biegały, pewnie miały wolne od pracy.

Ktoś prowadził osła ciągnącego wóz ze zbożem, inny karmił miniaturowe smoki, nucąc coś pod nosem. Kilka burych kundli błąkało się bez celu po okolicy, jeden z nich podniósł nogę i załatwił się. Nawet one patrzyły na nią z niechęcią.

– Nie chcemy tu takich jak ty, to porządna wieś – rzucił męski głos za jej plecami.

Oczywiście go zignorowała.

Ken Lin ruszyła z podniesioną głową, a bordowy kapelusz z rondem i pawim piórem chronił jej twarz przed bezwzględными promieniami słońca. Niebo było dziś ładne, bezchmurne, wbrew temu co zapowiadali wróżbici. Lubiała taką pogodę.

Wyciągnęła z paczki cienkiego papierosa i zacisnęła na nim pomalowane na fioletowo wargi. Zapaliła go pstryknięciem palców, po czym zaciągnęła się, aż dym wypełnił jej płuca. Dzień stał się jeszcze lepszy.

Szukała teraz, jak to ujął jej pracodawca, „ładnego domu na rogu, z zadbanym ogródkiem i niebieskimi drzwiami”. Był oszczędnym człowiekiem, ale Ken Lin więcej nie potrzebowała. W prawej dłoni ścisnęła czarną teczkę, podstawę jej pracy, na którą ludzie patrzyli z jeszcze większym strachem, niż na samą kobietę.

Kiedys słyszała, jak mieszkańcy Stolicy przyrównywali ją do pospolitych Diabłów zamieszkujących Przekłete Góry, pod których stopami gniła trawa, a wszelkie życie uciekało w amoku, gdzie popadnie. Oczywiście mijało się z to prawdą, podręczniki demonologii, czytane przez nią z uwagą prawily coś innego, trochę gorszego. Ludzie jednak zawsze lubili tak gadać.

Uznała to za dosyć niesympatyczne, ale do tego również przywykła. Nie winiła ich.

W końcu dotarła do celu swej podróży i stwierdziła, że opis domu był niezwykle trafny. Budynek wyróżniał się spośród innych wiejskich domostw, jego białe ściany zdobiły kolorowe rysunki i pnący się bluszcz przypominający zieloną tarczę. Na dodatek ogródek mógł poszczycić się prawdziwym urokiem, kwiaty promieniowały witalnością i pięknem, a owocowe drzewa rodziły obfite plony, proszące wręcz, by ich skosztować.

Ken Lin przez chwilę poczuła, jakby opuściła tę brudną, zamkniętą w czasie wieś i przeniosła się do bajkowej krainy, o której czytano jej w dzieciństwie.

Zapewne w środku pachnie świeżym ciastem i bezwarunkową miłością, pomyślała uśmiechając się pod nosem, po czym rzuciła niedopałek papierosa na ziemię. Następnie weszła pod zadaszony ganek, odczekała chwilę i zapukała stanowczo trzy razy. Pod wiklinowym krzesłem leżał stary pies, który zaczął ziewać i mlaskać.

Nie zwrócił na nią uwagi, jakby nie była jej godna.

Po krótkim czasie, drzwi otworzyła śliczna, młoda blondynka, której niebieskie oczy przypominały strumień najczystszej rzeki. Wyglądała ładnie, lecz pospolicie, jak każda cicha i posłuszna żona, gatunek często przez nią spotykany.

Gdy ujrzała Ken Lin, w jej wzroku od razu pojawiła się iskra niepewności. Dotknęła dłonią dużego, ciężarnego brzucha i odruchowo spojrzała w głąb domu.

– Nazywam się Ken Lin Sautoro, jestem komornikiem magicznym i reprezentuję interesy Kontynentalnego Związku Czarowników i Czarownic. – Mówiąc to, kobieta wyciągnęła z teczki nakaz sądowy i wręczyła go dziewczynie, która pewnie i tak nie umiała go przeczytać. – Czy zastałam pana Jah Kerida, tak zwanego Zbawcę Królestwa i Obrońcę Ludzkości?

Blondynka patrzyła z niedowierzaniem to na kartkę, to na kobietę, jakby nic nie rozumiejąc. Typowe zachowanie, z którym Ken Lin spotkała się już setki razy.

Teraz przynajmniej obyło się bez wstępnego dramatu i przemocy.

– Jah? – zawoła dziewczyna, gapiąc się ciągle w nakaz. – Chodź no tu.

Ken Lin stała w przedsionku i cierpliwie czekała, w dość niezręcznej ciszy. Oswoiła się z nią. Siedzące na drzewach sikory ćwierkały rytmicznie, a w powietrzu unosił się słodki zapach wanilii i twarogu.

Czyżby to z ciastem też było prawdą?

W końcu pojawił się i on, Złoty Chłopiec, Ulubieniec Ludu, Wybraniec Bogów. Ten, który ocalił królestwo przed zagładą i pomógł w obaleniu szalonego króla. Ken Lin od razu stwierdziła, że podania o jego

atrakcyjnej urodzie nie miały się z prawdą. Wysoki, silny, umięśniony, o włosach złotych jak tutejsze zboże, a oczach równie pięknych, jak u żony.

Wyglądał jak młody półbóg, mitologiczny heros ze starożytnych opowieści.

Kobieta od razu odrzuciła swe pożądliwe myśli na bok, nie tylko ze względu na sporą różnicę wieku, ale i również nieprzyjemną relację, bezwarunkowo ich teraz łączącą.

Nie mogła sobie pozwolić na tak nieprofesjonalne podejście.

– Co się stało, Marlin? – Miał ciepły i niski głos. Pasował do niego.

– Jah Kerid? – Kobieta zdobyła się na delikatny uśmiech, i wyciągnęła na powitanie rękę, którą ten od razu uścisnął. – Jestem Ken Lin Sautoro, komornik magiczny, a tu jest mój nakaz. – Wskazała drugą dłoń na kartkę, trzymaną przez otępiałą dziewczynę. – Mogę wejść?

Młodzieniec zmarszczył brwi i spojrzał na żonę. Ta tylko wzruszyła ramionami.

– Eeee proszę... – odparł Jah, dosyć niezręcznie.

– Uprzejmie dziękuję. – Uśmiechnęła się i weszła do ich małego, lecz przytulnego domu, zdejmując przy okazji kapelusz. Szukając dobrego miejsca, by usiąść, skierowała się w stronę dużego pokoju, gdyż to tam lubiła prowadzić swoje rozmowy ze względu na komfort i ciszę, który ów zwykle gwarantował.

Wyciągnęła fiolkę perfum i psiknęła kilka razy, bardziej z przyzwyczajenia, aniżeli potrzeby.

Ze zdziwieniem przyznała, że nigdy jeszcze żadnego nie spotkała, lecz właśnie tak ich sobie wyobrażała. Wybrańców, rzecz jasna. Wszyscy zwykli kończyć w takich domach, otoczeni ciepłem, zapachem ciasta, dziećmi, przyjaciółmi. Wybranką serca i wieczną chwałą.

Oczywiście ci, którzy na końcu przeżyli i nie okazali się zaginionymi dziedzicami tronu. Spodziewała się spotkać na swojej drodze jakiegoś bardziej oryginalnego Wybrańca, choć matka mówiła, by brać to, co dają. Historia świata uwielbiała karmić się takimi legendami. Ken Lin wydawały się już zbyt oklepane, ale co mogła na to poradzić?

Jah Kerid był jeszcze młodym, świeżo upieczonym bohaterem, więc cała rodzinna przygoda dopiero na niego czekała. Ken Lin sama nie miała się ani męża, ani dzieci i nie mogła zrozumieć tej magicznej otoczki snutej przez wielu ludzi.

Jednak czy narzekała? Niekoniecznie.

– Wyczuwam jakieś ciasto – rzuciła, by choć trochę rozluźnić spiętych małżonków. – Prawda?

– T-tak – odparła Marlin i podała mężowi kartkę. – Sernik z budyniem. Rano żem piekła.

– Na pewno wyborny. – Uśmiechnęła się i usiadła przy zastawionym do obiadu stole, wydając z teczek papiery, pióro oraz kałamarz. Jah wraz z żoną zajęli miejsce naprzeciw niej, bladzi i przerażeni.

Dopiero teraz Ken Lin spostrzegła czarny miecz ze złotą rękojeścią wiszący dumnie nad kominkiem. Za-

pewne pamiątka z podróży młodzińca. Wydawał się drogi.

Nada się, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Więc – zaczęła, porządkując papiery na stole. – Sytuacja może wydawać się państwu dziwna...

– Co najmniej – wszedł jej w słowo Jah, lecz go zignorowała.

– ...Niemniej jednak pewne sytuacje z przeszłości dają o sobie znać, wraz z prawami panującymi w królestwie, wprowadzonymi przez nowego króla. – Zamoczyła pióro w kałamarzu i zaczęła sporządzać notatkę, od razu przechodząc do rzeczy. – Czy postać czarodzieja Gantelliego jest panu znana?

Jah Kerid zmarszczył brwi.

– Tak – odparł zmieszany. – Był moim mentorem, do czasu, kiedy zginął...

– Rozumiem – przerwała mu, ciągle skrobiąc piórem i ruszając po cichu ustami. – Czy Gantelli wspominał panu, że magia ma swoją cenę? Że należy używać jej z rozwagą i wyczuciem? Czy ów czarodziej kazał panu coś podpisać?

– Chyba, ale... – Jah spojrzał na żonę, a ta tylko pokiwała głową.

– Przeczytał to pan?

Jah spojrzał na nią zdziwiony. Bardzo wymownie. Oczywiście, że nic nie czytał.

Nigdy się nie nauczy.

– Czy kiedykolwiek korzystał pan z usług Kontynentalnego Związku Czarowników i Czarownic, Wiedźm z Aramoru lub Stowarzyszenia Magów Mniejszych?

Chłopak pobladł, a jego twarz świadczyła o coraz większej dezorientacji, na swój sposób uroczej, choć bardzo naiwnej.

– Aż tak, to nie pamiętam, ale raczej tak...

– Czy dostał pan listy z żądaniem zapłaty?

– Co? – spytał ze szczerym zdziwieniem. – Nie wiem nic o żadnych listach.

– Otóż to. – Ken Lin postawiła kropkę przy ostatnim zdaniu. Następnie sięgnęła po listę, złożoną na kilka razy. Rozłożyła ją, prostując wszelkie zagięcia, odchrząknęła i zaczęła czytać. – Użył pan do teleportacji rzadkiego kryształu, który był własnością Związku. Niestety ów artefakt przepadł, przez co czarodzieje są stratni. Ponadto trzy łaski uzdrowienia, dwa woreczki wybuchającego proszku, rozstąpienie się rzeki, wizja przyszłości trwająca dłużej niż pięć minut, oraz jedno, dosyć potężne błogosławieństwo siły i odwagi...

– Chwileczkę! – przerwała jej Marlin, silnym i ostrym tonem, burzącym wizję przestraszonej i posłusznej myszki. Ken Lin zawiesiła się i spojrzała w jej stronę. – Mąż mój dostał to wszystko jako dar. O łaski się

modlił, my pobożni. Błogosławieństwo dali same bogi. Jah to wyjątkowy człek jest!

„Tak właśnie mówią” ostrzegali ją koledzy z pracy. Każdy, bez wyjątku, a czasem ktoś z rodziny, jeśli ich ego nie jest tak wielkie. Nie można się na to nabrać.

– Spójrzmy – powiedziała spokojnie Ken Lin, wyciągając kolejną kartkę. – Jah Kerid, młody sierota wychowywany przez krewnych w cichej wiosce na krańcu królestwa. Z czasem odwiedzony przez wędrownego czarodzieja, w tym przypadku mało uczciwego muszę przyznać. Następnie dowiadujący się, że jest przeznaczony do wielkich rzeczy... bla, bla, bla... do obalenia króla oraz zabicia jego przybocznych demonów. – Kobieta rozłożyła ręce, jakby w wyrazie bezradności. – Przykro mi, ale nasz kraj wyznaczył ten trend już dawno temu. Trudno mówić tu o wyjątkowości.

– Wiecie, przez co on przeszedł? – Nie ugięła się młoda dziewczyna. – Jak ktokolwiek śmie upraszać się o zapłatę?! Przecież mu wszystko darowali!

Ken Lin nie była zaskoczona tym uporem i miała na to formułkę, której nauczyła się na studiach.

– Ja tylko wykonuję swoją pracę.

– Rozumiemy, tylko... – odparł Jah starając się załagodzić sytuację, lecz jego żona wciąż pozostawała bardzo niespokojna i weszła mu w słowo.

– Kim ty w ogóle, do cholery, jesteś, co? – wybuchnęła, a jej twarz poczerwieniała jeszcze bardziej. – Jakim popieprzonym głupcem trzeba być, by w ogóle tu przychodzić? My porządni. Nie macie za grosz godności i serca?!

O tak, zaczyna się, pomyślała Ken Lin i odłożyła listę na bok. Jah zaczął uspokajać żonę, wspominając coś o ciąży i dziecku. Ta złapała się za brzuch i usiadła wygodniej, nie patrząc w jej stronę i mrucząc coś pod nosem o długach i tajemnicach.

Ken Lin ułożyła dłonie w piramidkę. Uznała, że sytuacja tego wymaga. Nie wyciągnęła jednak różdżki, nie chciała ich bardziej straszyć. Westchnęła tylko i spojrzała na wciąż niespokojnych małżonków.

– Jak dobrze państwo wiecie, król Rothgaar został zastąpionym królem Rothgenem – zaczęła, jak najbardziej przyjaznym tonem. – W kraju nastał czas prawa. Wprowadzono nowe podatki, które nie ominęły ludzi magii, zmuszonych do zarejestrowania swoich działalności. Utworzono związki zawodowe, ustalono płacę minimalną. Trzeba skądś brać pieniądze, magia nie jest przecież napędzana wodą. Ceny poszły w górę, a wszystkie podmioty magiczne pragną zwrotu wartości swoich usług, zawartych w umowie. W dzisiejszych czasach nie opłaca się być tak rozrzutnym i darować tak drogich usług.

– Ja myślał, że sprawiedliwe prawo powinno działać inaczej – powiedział Jah z nutą naiwności w głosie.

– Gdzie indziej tak, jednak nowe prawa musiały głównie objąć zwolenników dawnego króla, dopuszczających się w przeszłości wielu zbrodni, co oczywiście odbiło się na wszystkich. – Ken Lin spojrzała młodzieńcowi w oczy. – Nowy król ma bardzo rozbudowaną politykę surowych praw i wysokich podatków, co zapewne państwo sami czujecie. Następnym razem radzę zapoznać się z poglądami pretendenta, kiedy staje się do walki u jego boku.

– Nie mielim przecież wyboru...

– Rozumiem – odparła Ken Lin i rzuciła formułką, od której ludzi zawsze mdliło. Młodzieńca też. – Ja tylko wykonuje swoją pracę.

Jah westchnął i położył dłonie na stole. Ken Lin w tym czasie sięgnęła po kopię umowy, jaką chłopak podpisał z Gantellim. *To cwany lis z tego czarodzieja, nawet mu nie wytłumaczył, co to jest. Każdy urok był płatny i to niemało.*

– Moja żona ma rację, wszyscy magowie odpuścili mi zapłaty, po tym, jak uratowałem kraj – zaczął się tłumaczyć. – Nawet darowano mnie ten kryształ, co się zepsuł. Nie powinienem być nic dłużny!

– Nic się samo nie psuje, tak mawiała moja matka – odparła srogo Ken Lin i podsunęła mu umowę zwartą z czarodziejem. – Poza tym, czy owe deklaracje były słowne?

– No tak...

– Czy ma pan na to świadków?

– No nie... ale ja nie wiedział, że chodzi o *taką* cenę za magię! – Wzburzył się młodzieniec. – Ja żem się zmienił po tej podróży, stracił bliskich, nawet część siebie. Myślałem, że to jest tego ceną...

Ken Lin pokiwała głową.

– Będzie trudno to udowodnić, czarodzieje zwykli mieć silną linię obrony i dobrych adwokatów. Umowa mówi jasno o kosztach korzystania z magii. Pieniężnych kosztach. Przykro mi, ale nieznajomość prawa szkodzi.

Jah westchnął z bezradności i zaczął masować skronie.

– Dobrze, przejdźmy do rzeczy – powiedział w końcu, a Ken Lin ucieszyła się. Nie miała ochoty spędzać kolejnych minut na tłumaczeniu prawa, komuś, kto może i tak go nie zrozumieć. – Ile jestem winien?

– Całość to pięć tysięcy złotych – odparła beznamiętnie, patrząc obojgu w oczy. – W tym podatek.

– Że co?! – oburzył się chłopak, a jego żona niemal wybuchnęła płaczem. – To dla nas ogromna suma! Skąd mam niby wziąć te pieniądze?!

Ken Lin słyszała to pytanie za każdym razem, jednak nigdy nie potrafiła na nie odpowiedzieć tak, by kogokolwiek zadowolić. Nie wiedziała nawet, czy jest to możliwe.

– Przykro mi, ale nie wiem – powiedziała ostrożnie. – Jeżeli nie posiada pan tej gotówki, będę zmuszona zarekwirować państwa rzeczy.

– Tylko nie to! – krzyknęła Marlin, już bardziej pokorna. – My uczciwie pracowaliśmy. Oboje! Wszystko tu nam potrzebne, co do jednego garnka!

– Ja żem ocalił to przekłete królestwo! – rzucił jeszcze głośniejszym głosem Jah, jednak po chwili zniżył ton, widząc, że kobieta odsłoniła różdżkę trzymaną za pasem. – Czy nie da się tego odwlec w czasie? – dodał ze skruchą w głosie. – Spłacić w ratach? My dobre ludzie.

Jah przytulił trzęsącą się żonę. Wyglądał jak zagubione, niezręczne dziecko i Ken Lin zdziwiła się, że ktoś taki został wybrany do ocalenia królestwa. Liczyła, że ten zdejmie miecz i rzuci się na nią, każąc opuścić ich beztroski dom, jednak myliła się.

W przeszłości kilku próbowało. Marnie skończyli. Zwykle łamali kości i miecze.

Właśnie. Miecz.

Rozejrzała się po małym domku i nie dostrzegła niczego wartościowego, za co można wziąć dobrą cenę. Jedynie on mógł być coś wart. Zwykle się nie myliła.

– Wydaje mi się, że wisząca tam broń z czarnej stali może się nadać. – Ken Lin wstała od stołu. – Drogi materiał, pozłacana rękojeść. Miecz dobrej jakości. Czy posiada pan do niego futerał? Cena na pewno wzrośnie.

– Dostałem go od Pani Jeziora – wycodził przez zęby. – Nie mam żadnego głupiego futerału.

Ken Lin pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Na szczęście ona nie żąda zapłaty. – Jeszcze raz spojrzała do umowy. – Nasza Pani zdaje się unikać urzędu skarbowego, siedząc w co rusz to innym jeziorze. Do czasu, oczywiście, jeszcze nikt im nie uciekł, nawet ktoś taki jak ona.

Jah wciąż przytulał swoją płaczącą żonę, a Ken Lin zamilkła. Czy wszystkie jego wyczyny wydarzyły się naprawdę? Czy faktycznie przyczynił się do ocalenia królestwa? Kobieta uznała, że niepotrzebnie się tak starał. Cholerny idealista, jak wielu młodych. Wydawał się dobrym człowiekiem, raczej nie lubił wypić, czy bawić w hazard.

Nie był jednak pierwszym i zapewne nie ostatnim, którego coś takiego spotyka. Którego *ona* spotyka.

Świat to okrutne miejsce, ale co mogła na to poradzić? Do tego również się przyzwyczaiła.

– Istnieje pewna opcja... – odparła po chwili, patrząc na załamaną parę. – Jednak nie zawsze wydaje się korzystniejsza.

– Jaka? – spytali jednocześnie i jakby ocknęli się z amoku.

Ken Lin obeszła stół i spojrzała nad kominek.

– Wezmę sam miecz, a resztę odłożymy w czasie. Jednakże...

– Zawsze jest jakieś „ale” – wtrącił Jah niechętnie.

– ...Jednakże będę zmuszona rzucić na pana kilka klątw. Nie śmiertelnych, w żadnym wypadku, ale uciążliwych i tylko na czas zbierania reszty pieniędzy. Związek nie jest aż tak nadgorliwy, zwłaszcza, że czeka cierpliwie już ponad pół roku. Na pewno się dogadamy.

Młodzieniec nie wiedział co zrobić, ale kobieta wyczuła u niego ulgę. Mogła przysiąc, że usłyszała, jak kamień spadł z jego serca. Nawet jego żona przestała płakać i spojrzała na nią z rumieńcami na twarzy,

jednak wciąż pogardliwie.

Wyglądali teraz jak zwyczajna para, jedna z wielu, które Ken Lin spotkała na swojej drodze. Nie było tu żadnej otoczki bohaterstwa, wyższości i szczęśliwego zakończenia. Zdawali się po prostu ludzie, uginający się pod ciężarem otaczającego ich świata. Ken Lin też taka niegdyś była.

– Co to za klątwy? – spytał ostrożnie Jah.

Ken Lin sięgnęła po małą książeczkę z czerwoną okładką, trzymaną w teczce.

– Zobaczmy. – Zaczęła wertować jej pożółkłe strony. – Mogę sprawić, że będzie pan widział świat do góry nogami. Gazy będą częstsze i bardziej uciążliwe, a zapach wanilii zawsze spowoduje obfite wymioty. – Dotarła do końca książeczki i zamknęła ją. – Tak, to chyba wystarczy.

Małżonkowie spojrzeli na siebie z niepewnością w oczach. To i tak była hojność ze strony Ken Lin. Na ich miejscu, nawet by się nie zastanawiała.

– Muszę chwilę pomyśleć – powiedział Jah i zmarszczył brwi.

– Możemy zorganizować zbiórkę pieniędzy – rzuciła po chwili Marlin, głosem pełnym nadziei. – Tu dobrze ludzie są, na pewno coś dadzą. – Po czym ostrzej dodała: – Są nam to winni, do cholery!

– Czy umowa stoi? – spytała Ken Lin słodkim głosem i wyciągnęła rękę. – Będzie miał pan dodatkowy miesiąc na uzbieranie reszty sumy. W przeciwnym razie zajmiemy pański dom.

Jah spojrzał na nią wciąż mętным wzrokiem, jednak w końcu uległ i zgodził się.

– Pysnie. – Uśmiechnęła się Ken Lin i zaczęła sporządzać umowę oraz jej kopię. Gdy tylko skończyła, przeczytała wszystko na głos, by upewnić się, że tym razem młodzieniec wszystko zrozumie i nie podpisze czegoś bez wiedzy o konsekwencjach.

– Tutaj proszę o pana podpis, imię i nazwisko oraz datę – powiedziała, podsuwając mu kartkę oraz pióro.

– Dziś mamy trzynasty dzień trzeciego miesiąca.

Jah przyjął niechętnie pióro i nabazgrał coś, co przypominało jego podpis. Żona w ciszy wszystko obserwowała i masowała swój brzuch. Chłopak oddał kobiecie jedną kartkę, a drugą zachował dla siebie.

– Wspaniale – powiedziała Ken Lin i jeszcze raz ścisnęła jego dłoń.

– Kiedy klątwy zaczną działać? – spytał.

– Zwykle kilka minut po podpisaniu umowy. Znikną od razu po spłaceniu długu. Nie ma się czym martwić.

Jah uśmiechnął się niezręcznie i spojrzał na żonę.

Ken Lin w ciszy spakowała swoje rzeczy, zasunęła krzesło i podeszła do kominka. Następnie zdjęła długie, czarne miecz z pozłacaną rękojeścią. Był cięższy, niż się spodziewała. Magiczne przedmioty zwykły mieć zawyżoną wagę, czego nikt nie umiał wyjaśnić, nawet najlepsi rzeczoznawcy.

Chłopak jęknął i uderzył pięścią w stół. Nie dziwiła mu się, ale z drugiej strony, to nie była jej wina. Nie ona narobiła długów u magów.

– W takim razie, na mnie już czas. – Odwróciła się na pięcie i skierowała w stronę drzwi, nakładając przy tym kapelusz. – Życzę miłego dnia, oraz smacznego obiadu, jak mniemam. Niedługo znów się spotkamy.

Usłyszała za sobą coś na wzór pożegnania zmieszanego z żalem oraz kilka wyzwisk, rzuconych przez młodą dziewczynę.

Nie przejęła się tym, zresztą jak zwykle.

Nim doszła do drzwi, młodzi wszczęli gwałtowną kłótnię.

– Przekłęci dranie w głupich szatach! Ja żem wiedział, by im nie ufać, ale nikt mnie nie słuchał!

– A żeś musiał tak napieprzać magią na lewo i prawo? Aż tak źle ci szło? Miałeś przecież całą kompanię ze sobą!

– Nie wiń mnie za to teraz. To ja wyruszałem na tę niebezpieczną misję, gdy ty grzałaś dupsko u ojca w domu. Miałem zostać pieprzonym bohaterem, do cholery!

– Tak będziemy rozmawiać? Ja w ciąży jestem, jakbyś zapomniał!

– Nie zasłaniaj się teraz dzieckiem!

Ktoś rzucił talerzem, ktoś zwymiotował.

No tak, waniliowy budyń, pomyślała. Klątwa już działa.

Ken Lin zostawiła kłócących się małżonków za sobą i opuściła ich przytulne gniazdko. Szybko poszło. Sikory wciąż ćwierkały, a na niebie pojawiły się samotne obłoki, chcąc przykryć sobą słońce. Pies dalej leżał pod krzesłem, ignorując otaczający go świat.

Kobieta poczuła swego rodzaju ulgę, jednak zmieszaną z rzadko spotykanym u niej żalem. Wydało się jej to takie zwyczajne, ludzkie. Dawno tego nie czuła, prawie zapomniała, jak to jest.

Niestety, było już za późno. Zapaliła kolejnego papierosa i zaciągnęła się.

To ciasto naprawdę ładnie pachniało. Żałowała, że nie poprosiła nawet o małą porcję.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

DanielKurowski1, dodano 17.01.2021 10:07

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.